

MATYLDA SERAO

## UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYŃSKA

31

I.

Markus Henner, zwyciężony, zgnębiony, bez woli już i czucia opadł całym ciężarem ciała na dywan z rozkrzyżowanymi ramionami, wybuchając rozdzierającym spazmatycznym łkanem.

Pomiędzy „Pogrzebanymi żywcem”.

Klasztor „Pogrzebanych żywcem”, wznosił się na równinie pomiędzy brzegami morza a wzgórzem Vomero, w Neapolu.

Zbudowany został trzy wieki temu przez bogobojną siostrę Urszulę Benincasa, fundatorką tego zakładu. Dawna reguła wymagała nie tylko klauzury absolutnej, lecz nakazywała siostrą szczelne ukrywanie twarzy ilekroć z ce swoich wyjść były zmuszone. Z chwilą złożenia ostatecznych ślubów siostry zakonne zatracaly wszelką łączność z światem zewnętrznym i rodziną. Raz tylko na rok pozwalano im na krótką rozmowę z rodzicami, lub też najbliższymi krewnymi.

Rozmowa ta, prowadzona była nie przez krótko, tak jak w innych klasztorach, lecz przez mur gruby, z poza którego głosy dochodziły stłumione i niewyraźne.

Zdarzało się często, że zniechęcona podobną rozmową rodzina zakonnicy nie powracała więcej. „Pogrzebane żywcem” poświęcone Bo-u, zapomniane przez świat i ludzi, w ponurych murach swego grobowca — cierpliwie oczekiwały śmierci.

W początkach powstania klasztoru liczba sióstr i nowicyuszek dochodziła do trzydziestu trzech. Była to liczba wymagana przez regułę klasztorną. Ale z czasem, kiedy siostry niektóre powymierały, a nowicyuszek zgłaszało się coraz mniej — liczba ta zmalała. W obecnej chwili ośmnaście tylko zakonnic błagało się po olbrzymim gmachu i rozległym parku otaczającym klasztor. Jednakże w tym roku dwie nowicyuszki, zgłosiły się do zakonu, poleczone przez kardynała z Rzymu. Jedną z nich, przybyła w piękny dzień majowy około godziny piętej po południu. Była to kobieta młoda jeszcze, lecz widocznie wycieńczona chorobą, czy też ciężkimi moralnymi przejściami. Przybyła powozem, który zatrzymał się według przyjętego zwyczaju przed rampą kamienną, broniącą wstępu do klasztoru i wysiadłszy zapukała silnie do ciężkich okutych podwoi.

Pukanie to zwabiło siostrę furtyankę, która choć uprzedzona przez przełożoną o przybyciu nowej nowicyuszki, zapytała ostrożnie przez drzwi:

— Kto tam?

— Muszę pomówić z matką przełożoną — odpowiedziała nowo-przybyła. Przysłała mnie ksiądz kardynał.

— Więc to nowa nowicyuszka?

— Tak — odparła z głębokim westchnieniem zapytana.

— Która z dwóch oczekiwanych?

— Oczekujecie więc drugiej?

— Tak, ma przybyć z Rzymu.

— Ja przyjeżdżam z Verony, a nawet z dalszych stron jeszcze.

— A więc jesteś tą, która ma nosić imię siostry Serafiny?

Młoda kobieta nie dała odpowiedzi — tylko z pierś jej wybiegło jeszcze cięższe westchnienie.

— Wejdź więc — zaprosiła furtyanka.

— Mam walizy w powozie.

— Każe je odnieść.

Ciężkie drzwi uchyliły się i po chwili zatrzasnęły silnie.

Nowicyuszka weszła nie rzuciwszy nawet jednego spojrzenia wokół. Nie towarzyszył jej

nikt z krewnych. Znalazszy się w przeznaczonych dla niej celi, natychmiast zdjęła swoje podróżne ubranie i włożyła na siebie szaty zakonne. Cella jej znajdowała się na samym końcu korytarza, w rogu, z kąd widok rozległy rozciągał się na ogród i morze.

Od pierwszej chwili przybycia, siostra Serafina okazała się nadzwyczaj posłuszna i chętna do wypełnienia reguł obowiązujących każdą nowicyuszkę. Zauważono, że ilekroć wychodziła z pokoju przełożonej, gdzie kilkakrotnie spędziła parę godzin na poufnej rozmowie, oczy jej były silnie zaczerwienione od płaczu, a twarz jeszcze bledsza niż zazwyczaj. Niekiedy znowu spędzała długie chwile wsparta o krąg, wpatrzona o głębokim zamyśleniu w morze. A kiedy powracała z tamtąd z twarzą zmęczoną i zagasłymi oczami, matka przełożona zwalniała ją z niektórych cięższych czynności przypadających jej w udziale, litując się nad jej osłabieniem i zgnębieniem.

Wówczas siostra Serafina uśmiechała się smutnie i szeptała ledwo dosłyszalnym głosem:

— Dziękuję, moja matko.

— Niech ci Bóg przyjdzie z pomocą, moje dziecko — odpowiadała przełożona.



Niekiedy znowu spędzała długie chwile wsparta o krąg, wpatrzona w głębokim zamyśleniu w morze.

Siostra Serafina z upodobaniem przebywała w kościele na modlitwie. Często bardzo zakonnice znajdowały ją tam, leżącą prawie bez życia u stóp ołtarza z rozkrzyżowanymi ramionami, z twarzą zalaną łzami.

— Jak ona płacze! szepotały między sobą...

— Zdaje się, że życie już z niej uleciało! Może zemdlala!

Przybliżyły się więc by jej przyjść z pomocą.

Lecz siostra Serafina otrząsała się wówczas z letargu, w którym była pogrążona i powstawszy lekko z zimnych kamieni, na których kłęzała, czyniła znak krzyża i bez słowa znikala w ciemnych korytarzach.

— Jak dziwna ta nowicyuszka! — czyniły uwagę siostry zakonne.

— Cierpienie jej musi być wielkie!

— Nieszczęśliwa istota!

Wszystkie litowały się nad nią. Były one prawie bez wyjątku dobre i wyrozumiałe, choć o namiętnościach ludzkich wiedziały tak mało! Niekiedy może, młodsze, przeżywały w skrytości jakieś serdeczne wspomnienia, lecz wspomnienia te były już tak dalekie, taką mgłą koniecznego zapomnienia zasnuwane.

Miesiąc zaledwie upłynął od przybycia siostry Serafiny do klasztoru, a już wszystkie przy-

zwyczaiły się do jej bladej, zawsze smutnej twarzy, do jej wielkich, nieprzytomnych oczu i słodkiego, łagodnego głosu. W tym czasie przybyła oczekiwana druga nowicyuszka.

Jednego dnia o wczesnej bardzo godzinie do furty klasztornej zapukały dwie kobiety.

Jedną z nich starszą, wydała się być służącą, druga młoda uderzającej urody ubrana była wykwintnie, choć skromnie.

— Czy tu znajduje się zakon siostry Urszuli Benincosa? — zapytała starsza furtyanki.

— Tak.

— Oto młoda dziewczyna polecona przez księdza kardynała — rzekła wskazując swoją towarzyszkę.

— Proszę wejść — odparła furtyanka i przeprowadziła nowo przybyłe do rozmownicy, poczem oddaliła się aby uprzedzić przełożoną.

Młodsza z przybyłych, która milczała dotąd, opadła bezsilnie na krzesło po odejściu furtyanki.

— Odwagi, panienko! szepotała służąca pochylając się nad nią.

— Nie brak mi jej, ale czuję się tak zmęczoną!

— Panienka tu będzie mogła odpocząć do woli — rzekła służąca rozglądając się wokół.

Pokój był świeżo obitelony wapnem. Był w nim tylko stół jeden i cztery krzesła. Kilka świeżych obrazów wisało na ścianach, oprócz tego ozdób żadnych ale przez okno widać było cieniastą aleję ogrodu i w oddali morze błyszczące jak roztopione srebro w gorących blaskach słońca.

— Dobrze mi tu będzie — szepnęła po chwili młoda nowicyuszka.

— To zamknijcie się przed światem, musi być strasznie! wzdrygnęła się służąca.

— Tego właśnie pragnę — wyrzekła szybko młoda dziewczyna spuszczając oczy ku ziemi.

— Oh! panienko! to okropne przecieże!

— Służyć Bogu nie jest straszną rzeczą!

— Można mu przecieże służyć w rozmaity sposób.

— Chcę mu poświęcić całe życie.

— Oh! gołąko! moja! jęknęła służąca — ty jeszcze taka młoda jesteś i taka piękna!

— Nie mam już młodości — brzmiała smutnie odpowiedź.

— Nie trzeba tak mówić. Tyle w życiu jest nadziei i rzeczy pięknych.

— Niema żadnych! żadnych! szepotała nowicyuszka z gorczą w głosie.

Śluby składa się w rok po rozpoczęciu nowicyatu — wyrzekła z naciskiem służąca. Myśli odmienić się mogą...

— To niema dla mnie znaczenia. Mam takie wrażenie jakgdybym te śluby już spełniła. Zresztą przy spieszyć je mogę.

— Oh! nie! nie! to niemożliwe! na szczęście niemożliwe! zapytywałam już o to — zawołała gorąco służąca.

— Czego ty się więc spodziewasz? Na co oczekujesz? — zapytała zimno młoda nowicyuszka.

— Niewiem, panienko... niewiem. Ale nie chcę wierzyć żeby się to wszystko tak zakończyć miało!

— A jednak tak będzie!

— Kto to wiedzieć może? Może będę mogła powrócić tu wkrótce z dobrą wiadomością.

— Tutaj?

— Tak.

— Ty chcesz powrócić?

— Oczywiście.

— Nie ludź się, nie powrócisz tu więcej...

— Dlaczego?

— Nie życzę sobie tego — odpowiedziała stanowczym głosem nowicyuszka.

— Oh! panienko! Czy to możliwe! zawołała rozpaczliwie służąca.

— Nie powinniśmy się więcej widzieć, rozumiesz?

— Panienko! panienko!

— Nie płacz! Dzisiaj pożegnać się musimy!

(Ciąg dalszy nastąpi)